



**DMITRIJ  
STRELNIKOFF**  
N I K O Ł A J  
i B I B I G U L

N I K O Ł A J  
i B I B I G U Ł

**Dmitrij Strelnikoff** (ur. 1969) – rosyjski poeta i prozaik, piszący po polsku i po rosyjsku, biolog, dziennikarz prasowy, radiowy i telewizyjny. W Polsce wydał dotychczas tom wierszy *Homo mirabilis* (2004), zbiór opowiadań *Nocne życie aniołów* (2007) oraz znakomicie przyjętą powieść *Ruski miesiąc* (W.A.B. 2008). Jest także autorem *Wielkiej encyklopedii zwierząt*, która ukazywała się w latach 2006–2007, oraz współautorem ilustrowanej książki o dobrym jedzeniu *Ugryźć świat* (2008). Strona internetowa: [www.strelnikoff.strona.pl](http://www.strelnikoff.strona.pl)

**DMITRIJ  
STRELNIKOFF**

N I K O Ł A J  
i B I B I G U L

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009  
Wydanie I  
Warszawa 2009

*W półmroku półgwiazdy  
Zapaliły się na półniebiosach.  
Nękani półstrachem  
Półludzie, niczym gwoździe,  
Zastygli na ugiętych nogach.*

Moskwa, 1992

*Aby narysować ptaka, najpierw trzeba narysować  
klatkę.*

Jacques Prévert



## Część pierwsza





# 1

Tego nie dało się cofnąć. Niczego już nie można było cofnąć. Nad głową Nikołaja kotłowało się ciężkie, trzykolorowe jesienne niebo i unosiły się targane porywami wiatru mewy. Szybko sunące strzępiaste chmury co chwilę zasłaniały podwójny biały ślad po samolocie pasażerskim – dwie białe równoległe linie, dwie drogi, które nigdy się nie spotkają, nie nałożą, nie skrzyżują. Patrząc na nie, Nikołaj uśmiechał się obłądnie i w cichości ducha przytakiwał swoim myślom, upatrując w tych liniach potwierdzenia słuszności swojej decyzji. Wszystko było jasne: komu w drogę, temu czas. Przed swoim ostatnim krokiem nie czuł strachu ani najmniejszej tremy. Był opanowany i szczęśliwy – rezygnacja z życia oznaczała dla niego uzdrowienie, była jedyną możliwością połączenia w całość jego rozplatanego na pół świata.

– Już czas – powiedział niezbyt głośno, ale wyraźnie i stanowczo, i zaczął wspinać się na żelazne elementy konstrukcyjne Paryskiej Damy.

O tej porze na wieży Eiffla było niewielu turystów i prawie nikt nie zauważył, jak młody mężczyzna pokonuje zabezpieczenia i wdrapuje się na krawędź potężnej metalowej belki. Widok paryskiego Pola Marsowego wywołał w pamięci Nikołaja obrazy petersburskiego parku i placu o tej samej nazwie. Ten epizod mężczyzna również uznał za dobry znak;

tak, dobrze wybrał miejsce na swój ostatni popis. Gdy już miał zamiar skoczyć, ze zdumieniem zauważył, że nie jest sam. Kroczył ku niemu jakiś uśmiechnięty jegomość. Nieznajomy szedł szybko, pewnie stąpając nad przepaścią i wymachując zwiniętą w rulonik gazetą.

– To co? Lecimy? – zapytał wesoło Nikołaja, biorąc go za łokieć. I nie czekając na odpowiedź, dał susa w dół i pociągnął samobójcę za sobą.

W powietrzu mężczyźni się rozdzielili. Nikołaj spadał sam. Fakt, że z górnej części klepsydry jego życia wysypują się ostatnie ziarenka piasku, zajmował go o wiele mniej niż pytanie, dlaczego spada plecami w dół. Chciał widzieć zbliżającą się ziemię, pragnął ze spokojem spojrzeć śmierci w oczy, tymczasem widział tylko trój kolorowe niebo i szybujące po nim mewy. O dziwo, nie przesunęło mu się przed oczami, klatka po klatce, całe jego życie. Widział tylko jeden kadr: niebo i mewy.

– Dlaczego? – krzyknął zdezorientowany. – Dlaczego?!

Wtedy nieznajomy jegomość podleciał i mocno chwycił go za rękę...

– Wszystko w porządku? – z ładnym, ale oficjalnym uśmiechem na zadbanej twarzy spytała Nikołaja stewardesa, podając mu zestaw obiadowy.

– Tak. Dziękuję – odpowiedział cicho, będąc wciąż pod wrażeniem chwili upadku. – Zasnąłem – dodał, zbierając myśli. – Nic nie przegapiłem? Nikt nas nie porwał?

– Niech pan tak nie żartuje! – oburzyła się, nadal z uśmiechem na ustach, stewardesa.

– To dobrze. – Nikołaj zerknął na zegarek. – Śpieszę się, mam sprawę do załatwienia, nie chciałbym się spóźnić.

Samolot kazachskich linii lotniczych, jedna z kilkunastu maszyn kazachsko-brytyjskiej flotylli, półtorej godziny

wcześniej wystartował z międzynarodowego portu lotniczego Moskwa-Szeremietiewo i już pokonał blisko połowę drogi do stolicy Siedmiorzeczca, Ałmaty, rodzinnego miasta Nikołaja, największego i najważniejszego w Kazachstanie. W dole rozpościerały się niezmierzone, bezludne obszary, których melodia, płynąca z nieogarnionych głębin, rozbudzała w duszy Nikołaja jeszcze większą nostalgię niż podróż do ziemi ojczystej.

Jak mogliśmy to wszystko stracić?, powtarzał niczym mantrę, pytanie, które od kilkunastu lat nie dawało mu spokoju. Jak mogliśmy to wszystko stracić? Oddać tyle ziemi tym...? Nikołaj popatrzył na Kazachów i Kirgizów, pasażerów i członków załogi. Tym... Jak mogliśmy to wszystko im oddać? Za darmo!

– Oglądała pani *Borata*? – zapytał, gdy stewardesa podeszła do niego, aby zabrać tacę i pojemniki po obiedzie.

– Ten film jest w Kazachstanie zakazany, proszę pana. – Uśmiechnęła się powściągliwie.

– Ale oglądała pani? – dopytywał się.

– Jeśli coś jest zakazane, to nie można tego robić, nie sądzi pan? – Stewardesa lekko zmrużyła oczy, jakby próbując zajrzeć Nikołajowi do serca i dowiedzieć się, o co mu chodzi. Pytania przystojnego, ubranego w markowy garnitur Rosjanina z modnym zegarkiem na ręku wzbudziły jej ciekawość, ale były też niepokojące. Dlaczego pyta mnie o *Borata*?, zachodziła w głowę. Może to prowokacja?

– Zakazane jest publiczne wyświetlanie, tak samo jak w Rosji – powiedział Nikołaj. – Ale można obejrzeć film na DVD, prywatnie. Film jest głupi, ale ma swoją mocną stronę: typowi mieszkańcy zachodniej części Europy oraz Ameryki Północnej, cechujący się kompletnym brakiem wiedzy na temat Azji i świata w ogóle, dowiedzieli się, że istnieje coś

takiego jak państwo Kazachstan, które żeby było ciekawiej, jest dziewiątym co do wielkości państwem świata. Dla porównania: Francja jest na miejscu czterdziestym, a Wielka Brytania siedemdziesiątym szóstym, łącznie ze wszystkimi koloniami oczywiście. Jak się pani żyje w dziewiątym co do wielkości kraju? – ironizował. – W wielkim kraju, o którym nikt nie wie?

– Dobrze się żyje – szybko odparła stewardesa oficjalnym tonem. – I wcale tak nie jest, że o Kazachstanie nikt nie wie.

– Oooo, jasne. Jest wielu ludzi, którzy wiedzą i pamiętają o Kazachstanie – odparł, uśmiechając się sardonicznie. – Nigdy pani nie tęskni za naszym wspólnym domem, takim, jaki był do niedawna?

– Nie wiem – zmieszała się stewardesa. – Przepraszam, muszę już iść.

– A więc podrywanie stewardes cały czas jest w modzie? – zapytał, a raczej stwierdził, kobiecy głos za plecami Nikołaja, gdy zakłopotana dziewczyna odeszła.

Nikołaj zajął między fotelami za siebie i spotkał się spojrzeniem z sąsiadką, pasażerką, na którą nie zwrócił wcześniej uwagi. Przyjrzał jej się uważnie.

Wygląda jak Śakti w postaci ponętnej Umy, pomyślał.

– Podśłuchuje pani? – zapytał, próbując nie patrzeć na jej wydatny, kształtny, jak u hinduskich bogiń, biust. – To też nadal jest modne?

– Owszem! – odparła z uśmiechem, unosząc brwi.

– A pani? Nigdy pani nie tęskni za naszym byłym wspólnym domem?

– Nie myślę o tym. Myślenie nie zmienia faktów. Po prostu szukam swojej drogi – odpowiedziała nieco onieśmiewiona wyzywającym spojrzeniem czarnych oczu swojego rozmówcy.

Niezła, pomyślał Nikołał.

Nachalny przystojniak, pomyślała kobieta. Wygląda jak 007, ostry cukiereczek.

Uma nie była rasy żółtej. Miała wielkie, okrągłe oczy i należała prawdopodobnie do jakiegoś plemienia tadżyckiego, spokrewnionego z Afgańczykami, Pakistańczykami i Indusami. Jakby na granicy między rasą żółtą a białą.

– Mam wrażenie, że ocenia pan wzrokiem moją fizyczność, to z nudów czy odruch zawodowca? – zapytała.

– Oj – odparł wesoło Nikołał. – Zdaje się, ktoś tu jest bojonikiem ruchu na literę f, przepraszam za najście, już się odwracam. Czy z dała od wolnego Wietnamu!

– Nie jestem feministką, choć podzielam wiele poglądów takich kobiet.

Nikołał znowu popatrzył za siebie między fotelami.

– Czyli pani raczej nie zechce założyć kwefu i wtopić się w bezosobowy tłum kobiet, jak w ortodoksyjnych społeczeństwach muzułmańskich?

– Nie... Choć...

– A jednak! – Roześmiał się. – Gotowa jest pani cofnąć się do czasów średniowiecza w imię rzekomego odrodzenia wartości narodowych. Tak myślałem. Pani też dobrze się mieszka w kraju reklamowanym przez Borata?

Uma popatrzyła na Nikołała z wyrzutem, zaskoczona tyradą przystojniaka.

– Borat wcale nie reklamuje Kazachstanu – odparła.

– A więc widziała pani! Oglądała pani zakazany film. Szczerze gratuluję. Nic za to pani nie grozi?

Kobieta, lekko zmieszana, a raczej niezadowolona z tego, że dała się wciągnąć w idiotyczną rozmowę, podniosła się z fotela.

– Przepraszam, muszę wyjść.

– Wyjść? Chce pani stąd wyjść? Będzie jakiś przystanek? Niestety, nie mogę pani towarzyszyć, muszę lecieć dalej. Przykro mi.

Nie odpowiadając na kolejną zaczepkę, Uma udała się w kierunku toalety.

Chyba jest pijany, pomyślała. Choć nie słyszałam, by zamawiał alkohol...

Idź, Umo, idź, kontynuował w myślach Nikoła, patrząc przez okno na daleką ziemię. Cały świat podziwiał nasz wspólny kraj. Twój kraj i mój kraj. Kraj naszego dzieciństwa. Czym się możesz pochwalić teraz, Umo? Nową stolicą? Tym kiczowatym wesołym miasteczkiem na dzikim stepie? Samolot, którym lataasz, w połowie należy do Anglików. Byli pechowi kolonizatorzy Azji, tak samo pechowi jak my, wracają, by wypruć wam flaki w zamian za swoje paciorki i lustreczka. Nikt o was nie wie. Elity angielskie nie mają pojęcia, kim jesteście i że w ogóle istniejecie. Zmienił to głupi Borat. Zrobił to za was...

Wracając, Uma zatrzymała się na moment przy Nikołaju.

– Kasyna u nas też od niedawna są zakazane, więc jeśli lubi pan pograć, to nic z tego, nie można. Grywa pan?

Nikoła, przecząco pokręcił głową.

Uma zmierzyła go wzrokiem.

– Szkoda! – rzuciła i wróciła na swoje miejsce. – Stewardesy... Wszystkim się podobają! Nawet Abramowicz ożenił się ze stewardesą. Co w nich takiego, że faceci głupieją na ich widok?

Podrywa mnie, pomyślał z satysfakcją Nikoła.

Resztę podróży przespał. Jego sen był ciężki i nierówny. Śnił mu się odtwórca roli Borata, Sasza Baron Cohen, który szczerzył pod swoimi koszmarnymi wąsami wielkie zęby

i śmiał się, powtarzając w kółko: „Jestem młodszy od ciebie, a już załatwiłem Kazachstan! Mam go na widelcu. Teraz jest nasz, brytyjski! Bu-cha-cha!”

Airbus linii Air Astana wylądował na płycie lotniska w Ałmaty. Mijając Umę, Nikołaj niepostrzeżenie włożył do kieszeni jej lekkiego płaszczyka złożoną kartkę ze swoim numerem telefonu i słowami: „Zadzwoń. Borat”. Spodobała mu się. Niech wie, że lubi grać.

Jest w niej coś... – pomyślał, idąc w dół po stopniach trapu. Choć raczej się nie odezwie, nagadałem głupot, powinienem nabrać większego dystansu do tych spraw.

O dystans jednak nie było łatwo: już na lotnisku poczuł się nieswojo: niby wciąż w domu, jak kiedyś, a jednak w obcym kraju. Nie wiedział, jak się zachować, jak tutejszy czy gość? To uczucie było nieznośne. Mieszały się w nim poczucia obrazy i winy, z których rodził się niesmak. To była obraza na Kazachów, że z taką łatwością, jak gdyby nigdy nic, odeszli, odgradzili się, wyparli byłych przekonanych, zdradzili wspólny dom. A wina za to, że Rosjanie przez tyle lat nie zdołali uczciwie przekonać ich do siebie. Przecież nikt dobrowolnie nie opuszcza swojego domu.

Do hotelu pojechał taksówką. Ze smutkiem obserwował z prawej i lewej strony zakurzonej drogi zrujnowane przedmieście. Od dawna nieremontowane domy wyglądały okropnie. Między nimi gnieździły się potworne półgliniane budowle ściągających do miasta ludzi z aułów\*, których nawet sami Kazachowie, ci bardziej wykształceni i uważający się za lepszych, nazywają mambietami\*\*. Miasto, które przez

---

\* *Aul* – wieś azjatycka, jednostka społeczna, składająca się z kilku lub kilkadziesiątu pasterzy z rodzinami.

\*\* *Mambiet* ma trzy znaczenia: 1. tradycyjne imię kazachskie; 2. określenie osoby niekulturalnej w Kazachstanie i niektórych regionach



ponad sto lat rozkwitało niczym zaczarowany ogród, teraz umierało.

Gdy zobaczył, jak kilku Kazachów zarzyna tuż przy ulicy barana, wziął głęboki oddech.

– To już koniec, nie ma do czego wracać. Nawet pamięcią... – stwierdził z rezygnacją.

– Słucham? – odezwał się taksówkarz. Rosjanin.

– Nic, do siebie mówię. Przed tym, jak zawiezie mnie pan do hotelu, proszę przejechać ulicą Pokoju.

– Ulica Pokoju teraz nazywa się Żółtoksan. Dawno pan tu nie był? – Taksówkarz przyglądał się uważnie pasażerowi, patrząc we wsteczne lustro.

– Dawno. Proszę pamiętać, przed hotelem jedziemy na ulicę Pokoju.

– Nie ma sprawy.

Ulica Pokoju, na której kiedyś mieszkał Nikołaj, nie wzbudziła w nim większych emocji. Myślał, że ta chwila będzie bardziej wzruszająca. Tymczasem, kiedy zobaczył swój dawny dom, pierwsze, co mu przyszło do głowy, to to, że jest nieładny. Wręcz brzydki. Nie taki, jakim go pamiętał. Na podwórku zobaczył samych Kazachów: kilka osób dorosłych oraz półnagie, bose dzieci. Wiele drzew w okolicy, głównie wielkich starych dębów, zniknęło. Zostały ścięte, by nie zasłaniały reklam i wybudowanego niedaleko banku.

Wszyscy kiedyś zostaną ścięci. Na każdego przyjdzie czas, pomyślał, ostatecznie zdając sobie sprawę, że niepotrzebnie szuka spotkania ze swoim dzieciństwem.

– Dokąd teraz? – odezwał się taksówkarz.

– Teraz do hotelu poproszę.

---

obecnej Rosji, np. w Jakucji; 3. obecnie pospolite w Kazachstanie słowo obraźliwe.

– Się robi!

Ciekawe, kto mieszka w naszym mieszkaniu?, myślał Nikołaj. Patrząc na otaczających go Kazachów, wyobraził ich sobie w swoim pokoju, na swoim balkonie, w swojej łazience, w kuchni...

Zatrzymał się w hotelu „Kazachstan”, niegdyś wizytówce rosyjskiej Azji Środkowej, obecnie zabytku z lat osiemnastu ubiegłego stulecia.

Cztery gwiazdki, może być, pomyślał. Cena za pokój jednoosobowy 125 dolarów, mogłoby być taniej. Żaden z niego cud.

Widok z okien wieżowca wybudowanego na ziemi, która regularnie się trzęsie, i to mocno, nadal był wspaniały. Potężne góry ubrane w lasy, szmaragdowe łąki i połyskujące śniegiem szczyty nie zmieniły się. Stanowiły część dzieciństwa i były ziemią Nikołaja, zawsze kojarzące mu się z nieskończoną szczęśliwą ojczyzną. Patrząc na góry, wspominał pikniki nad rwącymi potokami, czasy radosnych odkryć, wspólne wyprawy z rodzicami i dziadkami. Kiedyś w górach można było spotkać tylko Europejczyków. Kazachowie, poza nielicznymi mieszkańcami miast, rodzącą się zeuropeizowaną inteligencją, nie piknikowali i nie uprawiali wspinaczki. Tylko ich pasterze wędrowali latem krętymi ścieżkami w poszukiwaniu soczystych górskich łąk, na których przez kilka miesięcy wypasali stada wygłodniałych po zimie owiec. Kazachów i Kirgizów spotkać można było wówczas głównie na bazarze, gdzie sprzedawali mięso, owoce i warzywa.

Taksówkarz czekał na dole. Nikołaj miał do załatwienia pilną sprawę. Zjeżdżając w dół z dwudziestego szóstego piętra, przeczytał ulotkę reklamową. Dowiedział się z niej, że hotel jest już w prywatnych rękach, kupił go jakiś Kazach nuworysz.

Oczywiście wyobraźni już widział pałac tego bogacza wybudowany w miejscu sadu owocowego lub w pięknym górskim uroczysku: ogromna brama, której strzegą kamienne lwy, przed wejściem mosiężne pantery, na dachu marmurowe orły, a na wysokim na pięć metrów ogrodzeniu świeżo zaprojektowany herb z inicjałami właściciela. W domu tego najprawdopodobniej byłego dygnitarza partii, a obecnie biznesmena, roi się od obrazów w złotych ramach. Na płótnach szerokości trzech, pięciu metrów nagie piękności spoglądające powłóczyście z lamparcich skór, rzuconych z rozkoszną niedbałością na podłogę, łożo, trawnik czy brzeg morza. A w najbardziej reprezentacyjnym miejscu portret rodzinny, dynastia: on w mundurze Napoleona na koniu, ona w szatach Katarzyny II na tronie cesarzowej. Pałac wznoszono przez kilkanaście miesięcy, a kiedy budowa dobiegła końca, biznesmen zapłacił swoim robotnikom, wieśniakom z podmiejskich aułów, połowę tego, co obiecał.

Więcej nie mam, bierzcie i cieszcie się, że w ogóle coś dostaliście! Tak zapewne się wytłumaczył. I wzięli, i cieszyli się.

Jak szybko u nas powstają fortuny!, zamyślił się Nikołaj. Zaiste, kraina cudotwórców! Ciekawe, czy ten pan ma w swoim domu sztucce. A może, tak jak jego dziadek, je rękoma? Tradycyjnie wycierając dłonie w brodę, która wygląda niczym szczotka do czyszczenia zlewu. I pomyśleć tylko: jego dziadek, pastuch egzystujący w układzie feudalno-klanowym, koczował ze swoimi owcami na dzikim stepie, a wnuczek kapitalista, syn ojca komunisty, kupuje za gotówkę wizytówkę stolicy dziewiątego co do wielkości państwa świata. Trzy pokolenia, trzy ustroje społeczno-polityczno-ekonomiczne!

Z ulotki dowiedział się też, że w hotelu są basen i sauna.

Znakomicie, pomyślał. Przed podróżą dobrze będzie zrelaksować się i odświeżyć. O świcie zamierzał wyjechać z Ałmaty.

– Na ulicę Kozacką – powiedział, wsiadając do taksówki.

– Nie ma już Kozackiej – odpowiedział kierowca z nutą nostalgii. – Teraz nazywa się Potanina. Kazachowie nie znoszą wszystkiego, co się kojarzy ze środkowoazjatyckim kozactwem. Po Kozakach pozostały tylko domy, w których obecnie mieszkają głównie... No, ci z aułów. Ludzie wyjeżdżający stąd po dziewięćdziesiątym pierwszym sprzedawali je za bezcen.

– A kto to jest Potanin? – z przekąsem zapytał Nikoła. Postanowił przeegzaminować swojego rozmówcę z wiedzy historycznej.

– Nie wiem! Nie mam pojęcia – przyznał się taksówkarz.

– No właśnie, nie wie pan. Niedobrze!

– A pan wie?

– Grigorij Nikołajewicz Potanin, syn oficera Syberyjskiego Wojska Kozackiego, wybitny geograf, etnograf, podróżnik, biolog, Honorowy Obywatel Syberii, twórca teorii politycznej i ekonomicznej autonomii syberyjskiej.

Zapamiętywanie liczb, dat, nazw i nazwisk zawsze przychodziło Nikoła. Ta zdolność wyróżniała go wśród rówieśników już w przedszkolu. W dziesięciolatce, którą ukończył ze złotym medalem, jego talent urósł do rangi legendy. Przez pewien okres uczniowie ze starszych klas dokuczali Nikoła. Zmuszając go do zapamiętywania liczb i wyrazów napisanych na kartce. Przepytywali go potem, celowo wprowadzając w błąd, zamieniając kartki. Na szczęście nie trwało to długo. Pewnego razu nie wytrzymał i zaatakował swoich dręczycieli pięściami. Wtedy okazało się, że potrafi się bić.

– Doprawdy? – szczerze zdziwił się taksówkarz. – Czyli Potanin to Kozak?

– Owszem. W składzie ósmego pułku kozackiego Potanin zakładał miasto, w którym teraz się znajdujemy: Ałmaty. A właściwie Wierny, jak się wówczas nazywało. Prace naukowe Grigorija Potanina były wydawane w Rosji i Anglii. Został pochowany w Tomsku. O ile dobrze pamiętam, umarł w 1920 roku.

To „o ile dobrze pamiętam” było zwykłym popisem. Doskonale wszystko pamiętał. Nikołaj Mienszykow był pasjonatem historii, którą traktował, między innymi ze względu na swoje pochodzenie, z powagą i szacunkiem.

Przed podróżą do Siedmiorzeczka przez kilka dni studiował historię tego regionu. Ponieważ miał niewiele czasu oraz towarzyszyła mu koleżanka, która ciągle go rozpraszała, zdążył przeczytać tylko o Kozakach Siedmiorzeczka, nowej stolicy Kazachstanu, Astanie, i trochę o współczesnym rozwoju języka kazachskiego.

– Na ulicę Kozacką – powtórzył Nikołaj.

– Się robi – w głosie kierowcy dało się wyczuć uznanie. – Dużo pan wie.

– Dużo. Ale proszę mi wierzyć, szczęścia to nie daje.

– A co według pana daje szczęście?

– Nic, proszę pana. Nic nie daje szczęścia. Jak mawiali starożytni: cokolwiek zrobisz, będziesz żałował. I tak właśnie jest. Szczęśliwe mogą się czuć tylko rośliny, organizmy niemające ani rozumu, ani dumy, ani uczuć.

Wypowiedź pasażera skłoniła taksówkarza do milczenia. Postanowił o nic już nie wypytywać. Do końca kursu nie odezwał się ani słowem.

Na ulicy Potanina Nikołaj miał spotkanie z zawodowym kierowcą, właścicielem nowej japońskiej terenówki, z któ-

rym rano zamierzał opuścić miasto. Dotychczas rozmawiał z nim tylko przez telefon. Znalazł jego firmę przez internet i dzwonił do niego kilka razy z Moskwy. Teraz chciał omówić szczegóły ich dalekiej podróży. Gdy wszystko zostało ustalone, zapłacił zaliczkę i wrócił taksówką do hotelu. Zamierzał już wjechać windą na swoje dwudzieste szóste piętro, kiedy przypomniał sobie o kolejce linowej na wzgórzu Wierigina Gora. Choć wiele zmieniło się w mieście od czasów jego dzieciństwa, stacja popularnej kolejki nadal znajdowała się tuż przy hotelu „Kazachstan”. Zaprzagnął wjechać nią na taras widokowy, na którym nie był od lat.

Pełznąca po lince obła kabina jak zwykle wywołała w wyobraźni Nikołaja skojarzenie z tłustym pajakiem wspinającym się po nitce pajęczyny. Prosto do nieba. Wierigi to okowy, łańcuchy, konstrukcje z kutego żelaza i miedzi, czasem ikony w ciężkich miedzianych ramach, które niegdyś nosili na sobie mnisi, by umartwiać się i okiełznać cielesne żywioły, by uwolnić, uszlachetnić, otworzyć na oścież swoje dusze. Wierigi mogły ważyć nawet kilkadziesiąt kilogramów.

Skąd ta nazwa?, zastanowił się po raz pierwszy w życiu. O jakie „wierigi” tu chodzi? Wierigi sensu stricte? A może nazwa pochodzi od nazwiska? Był sobie raz pan Wierigin...

Na tarasie widokowym, położonym u stóp wieży telewizyjnej, spędził około pół godziny. Ze względu na wyjątkowo czyste powietrze miasto tego dnia było widoczne jak na dłoni. Nie mógł powstrzymać wzruszenia: prawie trzydzieści lat temu, gdy wyjeżdżał z rodzicami na stałe do Moskwy, właśnie z tego miejsca żegnał się ze swoim miastem. Teraz, gdy po długiej nieobecności wrócił do niego, znalazł się w innym, obcym kraju. Miał zagraniczny paszport. Nie rozpoznawał nazw ulic. W jego byłym mieszkaniu osiedlił się